



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: DO KINA – ALE NA CO?

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w pierwszym, lutowym numerze „Życia Warszawy” felieton Stanisława Grzeleckiego poświęcony „Pożegnaniom z filmami”, a w nim taki passus: „A poza tym marzą mi się kina o stałym repertuarze wybranych starannie filmów polskich i innych krajów socjalistycznych. To nie były by kina-muzea, ale kina – żywe instytucje sztuki filmowej. Przy dobrej organizacji i reklamie”. W innym miejscu Grzelecki podaje myśl wydzielenia w większych miastach kin, w których raz na miesiąc albo na dwa tygodnie pokazywałyby się interesujące, schodzące już z ekranów filmy w związku z wygaśnięciem ich licencji. Oczywiście należałoby taką imprezę odpowiednio rozreklamować...

W Lublinie mamy już namiastkę czegoś takiego - mianowicie dni tak zwanych „pożegnań z filmem” w kinie „Staromiejskie”. To kino, nastawiające się zresztą głównie na nieźle pomyślany repertuar powtórkowy, spełnia w jakimś sensie funkcję „kina dobrych filmów”, jakie się marzy felietoniście „Życia Warszawy”. Z tym jednak, że prezentowane tu są pozycje zarówno z krajów socjalistycznych jak i kapitalistycznych. Ale kina prezentującego, stale i konsekwentnie dobry, odpowiednio dobrany, wartościowy i - co bardzo istotne - aktualny repertuar, takiego kina w Lublinie nie ma.

Oczywiście istnieją kluby filmowe oraz kino studyjne. Tylko, że DKF-y są placówkami zamkniętymi, realizującymi w dodatku - każda swój specyficzny, indywidualny program. A o „fenomenie” kin studyjnych mam zdecydowany i określony sąd; zresztą nie ja jeden w kraju... Tymczasem chodziłoby o kino otwarte dla szerokiej publiczności, rządzące się prawami „normalnego” kina, tyle że nie kierującego się w swej działalności głównie planami finansowymi.

Doskonale rozumiem, że lubelski dyspozytor kieruje na ekrany takie filmy, jakie dostaje ze swojej centrali i że wśród tych filmów coraz więcej francuskich płaskich komedijek w rodzaju „Śmierci z komputera” czy żałośnie przeciętnych thrillerów takich jak chociażby japoński „Superekspres w niebezpieczeństwie”. Nie mówiąc już o różnych „Godzillach”, „Gigantach”, „Hedorach” i relacjach pomiędzy tymi potworami... Te filmy robią kasę, a kina muszą realizować plan sprzedaży biletów.

Ale są przecież także filmy dobre i bardzo dobre, które często spycha się do kin peryferyjnych, lub w teren w obawie o brak frekwencji. Podczas gdy od omawiania tych właśnie filmów trzęsie się cała fachowa prasa filmowa. Tak ma się rzecz choćby z dziełem Nikity Michalkowa – „Niedokończony utwór na pianole”, który na ostatnim festiwalu w San Sebastian zdobył Grand Prix, a u nas wciąż nie może wejść na lubelskie ekrany poza bodajże jedną projekcją w „Chatce Żaka”, w godzinach południowych. A krążył na dobre gdzieś pomiędzy Nałęczowem i Kazimierzem. Podobnie z wydarzeniami artystycznymi tego rodzaju, co „Wniebowstąpienie” Łarisy Szepitko czy „Jak zranione ptaki” Mikołaja Gubienki, które dosłownie przecwałowały przez repertuar lubelskich kin.

Zgoda, to są filmy trudne, niezbyt „atrakcyjne” dla przeciętnego widza. Ale właśnie, dlatego wymagające szczególnej troski ze strony ludzi odpowiedzialnych za filmową reklamę i ze strony tych, którzy powinni być odpowiedzialni za kształtowanie kultury filmowej. Ostatecznie taką będziemy mieli publiczność, jaką sobie wychowamy. A do tego nie wystarczą nawet bardzo pomysłowe reklamowe stelaże z metalowych rurek proponowane przez „Polfilm” ani kolorowe diapozytywy zdobiące kinowe poczekalnie. Ale co tu mówić na temat właściwej reklamy i odpowiedniej akcji popularyzacyjnej skoro w gablocie reklamowej OPRF na Krakowskim Przedmieściu oglądam afisz polskiego filmu archiwalnego „Czy Lucyna to dziewczyna”, na którym widnieje jak byk wyraźnie wydrukowane nazwisko reżysera, Juliusza Gardana, a na przypiętej do tegoż afisza rodzimej „reklamówce” napisano, że... film reżyserował M. Krawicz. Owszem - Krawacz był tutaj współscenarzystą, kierownikiem artystycznym, ale nie reżyserem. Co zresztą potwierdzają napisy w czołówce filmu...

W lutowym kieleckim miesięczniku społeczno-kulturalnym „Przemiany” czytam o interesującej inicjatywie tego periodyku i OPRF w Kielcach: oto w małej sali kina „Moskwa” odbywają się regularnie przeglądy twórczości wybitnych ludzi kina. Od 13 do 17 lutego np. zorganizowano tam pokaz pięciu najważniejszych filmów Sergiusza Eisensteina. Imprezy tego rodzaju reklamuje się szeroko w prasie, omawia w specjalnych rubrykach filmowych i artykułach.

U nas nie ma, niestety, „małych” sal przy dużych kinach, ale przecież istnieje chociażby, wygodna, centralnie położona sala kinowa w Lubelskim Domu Kultury, która mogłaby, idealnie spełniać - przynajmniej na początek - rolę „kina dobrych filmów”. Gdzie można by oglądać aktualny, wartościowy repertuar proponowany przez radę artystyczną, robić przeglądy takie jak w Kielcach i gdzie można by stworzyć namiastkę „Iluzjonu” czerpiącego z doświadczeń podobnej placówki warszawskiej. Nie wiem, czy byłaby to placówka rentowna i czy nie musiałyby do niej dokładać wydziały kultury. Ale byłyby to na

pewno pieniądze wydane na dobry cel. I takie kino mieściłoby się w formule „żywej instytucji sztuki filmowej”, jaką się stale postuluje.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA FILMOWE:

ZBIGNIEW CZECZOT GAWRAK – „ZARYS DZIEJÓW TEORII FILMU PIERWSZEGO PIĘCDZIESIĘCIOLECIA 1895-1945”. VI tom „Studiów z teorii filmu i telewizji” pod redakcją Aleksandra Jackiewicza. Wyd. PAN, „Ossolineum” 1977, cena zł. 60. Lektura la osób szczególnie zainteresowanych problematyką kina.

„KINO I TELEWIZJA”. Praca zbiorowa pod redakcją Bolesława W. Lewickiego, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1977. Cena zł. 41. Książka „przeznaczona w zasadzie dla nauczycieli (...) książkę tę traktować należy jako zbiór informacji o stanie dzisiejszej wiedzy o filmie, o kinie i telewizji, a jednocześnie jako komunikat z frontu aktualnych spraw filmoznawstwa”. Niewysoki nakład (7 tys. egz.) i zapotrzebowanie na tego rodzaju wydawnictwo sprawi, że wkrótce zapewne książka zniknie z półek księgarskich.

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 4, s. 14.